



Alicja Lutostańska

część I z II

Sygnatura notacji: **N0680**

Data urodzenia: **05.07.1930 r.**

Data nagrania: **10.02.2025 r.**

Miejsce nagrania: **Dom świadka, Warszawa, Polska**

Prowadzący/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**

Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 16 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Alicja Lutostańska: Jestem Alicja Jadwiga Lutostańska. Urodziłam się 5 lipca 1930 roku w Warszawie. Rodzicami moimi byli, zaczynam od ojca, major Szymon Klemens Lutostański, czynny zawodowo oficer Wojska Polskiego. Mama moja urodziła się w Suwałkach, ukończyła gimnazjum suwalskie. Po wydarzeniach I wojny światowej zamieszkała z rodziną w Warszawie i tu spotkali się przypadkowo rodzice po I wojnie światowej. Znali się z Suwałk, bo tu muszę nadmienić, że rodzina ojca pochodzi z Suwalszczyzny, z północnej Suwalszczyzny, czyli z południowej Litwy dzisiejszymi określeniami. I korzenie zarówno mojej mamy, jak i mojego ojca sięgają północnej Polski, Suwalszczyzny. Więc kiedy moi rodzice spotkali się po I wojnie, bardzo szybko pobrali się i ojciec miał wojskowe mieszkanie służbowe, zamieszkali i ja urodziłam się, tak jak wspominałam, w 1930 roku. Dzieciństwo moje było do 1939 roku, do wybuchu II wojny światowej. Cóż mogę powiedzieć, dzieciństwo jak dzieciństwo, zawsze się mile wspomina, było radosne. Ojciec zmarł, miałam 3 lata i z uwagi, że mama musiała pracować, wobec tego byłam oddana do wojskowego przedszkola, tak zwanej „Rodziny Wojskowej”, które to przedszkole mieściło się w Belwederze. I tam spędziłam 2 lata. Było to w 1935 roku. Zaczęłam tam edukację, jeszcze były to ostatnie [dni] życia marszałka Józefa Piłsudskiego. Mieszkała tam pani Aleksandra Piłsudska z córkami. Do tego przedszkola chodziły również córki. Ono było w głównym gmachu Pałacu Belwederskiego, więc miałam ten zaszczyt uczestniczyć. Tam była mała grupa dzieci wojskowych. Niedawno był jubileusz, 95-lecie „Rodziny Wojskowej”. I tutaj jest taki szklany, jakby nazwać, pojemnik, nie, to nie jest, wielościan upamiętniający 95-lecie, teraz będzie 100-lecie powstania „Rodziny Wojskowej”, która organizowała szkolnictwo dla dzieci rodzin wojskowych. Ja mówię o takich sprawach, które pamiętam, które zostawiły pamięć, ślad w moim życiu. W 1939 roku rozpoczęła się wojna i tutaj, muszę powiedzieć, skończyło się moje dzieciństwo. Tutaj się zaczęło życie poważne. Mianowicie już nie uczęszczałam ani do przedszkola, ani do szko-

ły w pierwszych miesiącach. I pamiętam doskonale oblężenie Warszawy, ponieważ mieszkałam w Śródmieściu z matką, które było bombardowane bez przerwy, dzień i noc. Wobec tego, troszkę dla bezpieczeństwa, przeprowadziłyśmy się z mamą do rodziny, która mieszkała poza Śródmieściem, przy ulicy Smoczej. Potem to był teren getta, ale wtedy jeszcze nie było tych restrykcji. I tam do końca oblężenia, to był taki styk radosnego dzieciństwa, bo jeszcze muszę powiedzieć, że rodzina, mama, rodzice mieli nad Świdrem taki letni domek, jak to koło Świdra, w Józefowie tak zwanym, jak to mówią, w stylu świdermajer. I tam spędzałam wakacje od czerwca do początku roku szkolnego. Więc ten okres dzieciństwa, te krajobrazy znad Świdru, lasy sosnowe, pola wrzosów, wszystko to się skończyło 1 września. Bo od 1 września i po kapitulacji Warszawy zaczęło się życie dorosłe. Mianowicie zaczęło się 5 lat okupacji. Ja częściowo uczyłam się w szkole podstawowej, która znajdowała się przy ulicy Kruczej. Ale lekcje historii, lekcje polskiego miałam prywatnie. Przychodziła nauczycielka, która prywatnie uzupełniała moje braki, te, które miałam w wyniku braku tematyki tej, jaka była w szkole. Zaczęło się życie na poważnie, zaczęły się łapanki, zaczęło się życie konspiracyjne. Z tym że mama moja w konspiracji nie była. Natomiast w naszym mieszkaniu były takie dziwne herbatki, na które przychodziło wiele osób. Ja byłam dosyć ciekawym dzieckiem, więc tam mnie wypraszano do drugiego pokoju, że ja w tym nie uczestniczyłam, jakoś mnie oszczędzano, szczerze nie umiem tego scharakteryzować. W każdym razie coś tam konspiracyjnego się działo. Cóż, warunki życia były coraz trudniejsze. To była ulica Wspólna niedaleko placu Trzech Krzyży. Ulica dosyć wąska, ciasna, ze sklepami. Zaczęły się różne kłopoty, stworzenie dzielnicy niemieckiej w Alejach Ujazdowskich bardzo blisko i jakieś restrykcje tego typu, żeby się tam nie zbliżać, tam nie chodzić. Pamiętam, wielokrotnie widziałam te budy jeżdżące, budy to znaczy samochody z plandekami, które zatrzymywały się na ulicach, łapali ludzi dosłownie jak jakichś zwierzaków i do tych samochodów, bud. Więc mam taki obraz, jak jechała taka buda, to już wszyscy uciekali na boki. Chociaż pamiętam, że właściwie dzieci do tych bud nie łapali, tylko na ogół młodych ludzi, pewnie na roboty. Więc takie były atrakcje dnia codziennego. Był głód w Śródmieściu. Może na obrzeżach, gdzie były działki, ogródki, to tam było lepiej. Ale w ścisłym Śródmieściu to były kłopoty zaopatrzenia. Więc pamiętam jakieś produkcje sucharów, jakąś produkcję szmalcu do słoików, takie zaopatrzenie, zresztą które bardzo się potem przydało w czasie Powstania Warszawskiego. W tej kondycji tak trwało do 1 sierpnia, do wybuchu Powstania Warszawskiego, więc co mogę powiedzieć. Napisałam wspomnienie z moich przeżyć. Z każdym dniem, chociaż należałam do ludności cywilnej, nie byłam w organizacji, w akcji, ale nasilenie walk, nasilenie terroru, strachu narastało z dniem każdym. Sierpień jeszcze w Śródmieściu Północnym czy Południowym, tak na styku mieszkaliśmy, jeszcze był w miarę spokojny, znaczy były naloty non stop ciężkiego lotnictwa niemieckiego, ale to jeszcze jakoś było, jak to się mówi, pół biedy. Natomiast wrzesień już był dla Śródmieścia tragiczny. Już wtedy padły dzielnice obrzeżne i ludność z tych dzielnic przyszła do Śródmieścia, przyniosła wiadomości i w stanie już bardzo krytycznym chorzy, przeważnie starsi ludzie, młodzi byli w akcji. I już wrzesień. To były warunki bardzo ciężkie, bo właściwie wszystkie domy naokoło już były zawałone. Ten numer 5 mój i numer 3 to tak jakoś wyjątkowo istniał. Może dlatego, że po parzystej stronie mieli Niemcy cel do obstrzału, bo tam podobno była komenda Armii Krajowej, chwilowa, czasowa, bo w innym miejscu też była placówka, ale tutaj i te bombardowania lotnicze, i artyleryjskie, i wszystkie, to one szły na parzystą stronę ulicy, a myśmy byli po nieparzystej. Pamiętam, jak dzień po dniu, dom po domu, po kolei wszystkie padały po drugiej stronie. Więc tak już w skrócie, żeby powiedzieć. Ja byłam chora poważnie z tych warunków też piwnicznych. Nie było światła, wody, kanalizacji, nic. I byłam ciężko chora, więc 2 października wyszliśmy pieszo do ulicy Śniadeckich. Tam przy Śniadeckich, często chodzę i wspominam, była barykada, gdzie powstańcy oddawali broń, a ludność cywilna wąskim przejściem przy ścianie, bo też była barykada,

w poprzek stała, przechodziła na stronę, na drugą stronę i tam konwój szedł do Pruszkowa, ponieważ wiadomo było, że w Pruszkowie likwidowano, dzielono na rodzaje zdrowszych do robót, słabszych tam rzekomo do szpitala, a moi dziadkowie Dąbrowscy właśnie jako słabi gdzieś wyselekcjonowani zginęli. Więc nie mogłam dojść, wiedziała matka, uciekłyśmy wtedy z tego konwoju, że to się udało, to naprawdę cud boski, jak to mówią, i już potem się znalazłam pod Warszawą w Brwinowie u moich dziadków Świątkowskich, którzy mieli tam swój letni dom. Jak tam żeśmy przybyły z matką, to już tam ten dom był zabezpieczony, więc... Wuj był lekarzem, więc dla mnie już była tylko kanapka w gabinecie lekarskim, taka jakaś była malutka, że pamiętam, jak z jednej strony nogi mi wisały, z drugiej strony głowa, ale innego miejsca nie było. Natomiast mama moja biedna gdzieś miała taką deskę, na której miednica normalnie stała, ale najważniejsze, że był spokój. Tam żeśmy, do szkoły oczywiście nie chodziłam, nie było ubrania, podstawowych rzeczy i byłam chora, ale wuj był lekarzem, leczył mnie, wyleczył. Tak się doczekało do lutego, początku lutego, koniec stycznia, koniec, tak zwane wyzwolenie, prawda, 17 stycznia Warszawy. W pierwszych dniach lutego wyruszyliśmy z Brwinowa częściowo pieszo, częściowo kolejką, częściowo wozem do Śródmieścia Warszawy. Aha, bo kiedy wychodziło się 2 października, to dom uszkodzony, ale budynek jako taki jeszcze istniał. A do piwnicy zostały zniesione tzw. cenne rzeczy, tzn. pamiątki, jakieś ciepłe ubrania, tak dokładnie już nie wiem, nie pamiętam, dokumenty w pierwszym rzędzie. Więc żeśmy przyszły, przyjechały do Warszawy. Pamiętam ten moment tragiczny, mianowicie dochodzimy do placu Trzech Krzyży i przychodzimy, a tam ruina, spalone wszystko. Bo było tak, że po powstaniu te domy, które ocalały, to Niemcy przed opuszczeniem Warszawy palili. Więc nawet te, które nie były zniszczone od nalotów niemieckich, to one potem zostały spalone. Więc tu cała nadzieja o odzyskanie pamiątek i w ogóle miejsca jakiegoś zaczepienia, pobytu. Wtedy co zrobić? Padła decyzja, że trzeba się dostać na Pragę, na Grochów, bo tam byli znajomi, którzy mogą nam udzielić jakiegoś wsparcia, pomocy. I tak się stało. I pamiętam, że zima była mroźna, śnieg był, zimno było strasznie. I na Wiśle był most pontonowy wojskowy. I myśmy przez ten most pontonowy przeszły na brzeg praski. I pamiętam, że pontony były łączone łańcuchami. To był wojskowy most i te łódki, pontony nie bardzo szczelnie dochodziły do siebie, że tam widać było takie przerwy, dziury i był jednokierunkowy. Więc trzeba było iść tym mostem, trzymając się łańcucha, po prawej stronie ręką trzymać, bo pod wpływem ciężaru przechodzących osób i pojazdów ten most się huśtał. Więc ja miałam lęki, żeby tam do Wisły w końcu nie wpaść. Ale szczęśliwie się udało przejść na drugą stronę. Potem oczywiście pieszo na Grochów. Tam mieszkali znajomi, tam zamieszkaliśmy, trudno powiedzieć: zamieszkać, bo znowu straszna ciasnota przy ulicy Grochowskiej. W dwóch domach byłyśmy, bo jeszcze była taka tragiczna dla nas historia, że wszędzie można było dostać tę tzw. kwaterę na krótko, na jakieś tam ileś dni, a potem czy przyjeżdżała rodzina w podobnej sytuacji do Warszawy, czy wracał syn z wojska, w każdym razie trzeba było krótko być i już do następnego. Ja naliczyłam, żeśmy były w 6 miejscach. I to pamiętam, ja się rozpłaczę. Najcięższe moje przeżycie to ta tułaczka. Tułaczka i beznadziejność. To mi zostało jako taki stres na całe życie. I to, jak to powiedzieć, zaowocowało potem moją walką o mieszkanie. Potem zaczęłam walczyć jako element, cel mojej pracy, mojego działania, mieć miejsce do życia. Więc tam była szkoła, gimnazjum i liceum humanistyczne, ponieważ miałam przerwę od sierpnia, znaczy od 1 września nie poszłam do szkoły, więc do marca nie uczęszczałam nigdzie, bo stałe były te przeprowadzki, wyjazdy, przejazdy, przemieszczania się, więc miałam zaległości. W marcu rozpoczęłam naukę w VI Miejskim Gimnazjum, później imienia Powstańców Warszawy. Wtedy było Miejskie Ogólnokształcące Gimnazjum na Grochowie przy ulicy Boremlowskiej, ono zresztą istnieje do dzisiaj pod innym adresem. Przy ulicy Kinowej. Tak. Ja kończyłam to gimnazjum. No to ja też. I tam była taka sprawa, ponieważ rozpoczęłam naukę w marcu, 10 miesięcy przerwy, a zakończenie roku szkolnego w czerwcu,

więc dano mi warunek, że albo nadrobię te ileś miesięcy, wrzesień, październik, listopad, grudzień, styczeń, luty, marzec, luty, 6 miesięcy jeżeli nadrobię, będę mogła przejść do następnej klasy i w czerwcu złożę egzamin. I mogę przejść. A jeżeli nie uzupełnię tych 6 miesięcy, to cofną mnie, stracę rok. Tutaj ambicja, żeby nadgonić. Ale czas, ale nie było w ogóle podręczników. Nie istniały. I pamiętam, że dwie koleżanki z tego gimnazjum miały książki i te książki krążyły po wszystkich uczniach, były ręcznie przepisywane, żeby potem dzieci mogły z tego się uczyć. I pamiętam, że była taka moja koleżanka Jadzia Cybulanka, już adresu w tej chwili nie pamiętam, która miała książki, i ona pożyczła na noc książki, które moja matka przepisywała ręcznie, matematykę, chemię i tak dalej. Proszę sobie wyobrazić, co ja później z tego się mogłam uczyć. I proszę sobie wyobrazić lęki moje, czy zdałam, i zdałam, nie straciłam roku. Ale te traumatyczne przeżycia, jakie były, plus brak, po prostu siedziałam w domu, nie uczyłam się i brak podręczników. Jakoś udało mi się zdać, co uważam za swój życiowy sukces, żartobliwie mówię, i życzliwość profesorów, bo oni sobie chyba zdawali sprawę, na pewno zdawali sprawę, jaka jest sytuacja. W tejże szkole, w tym gimnazjum skończyłam to liceum i gimnazjum humanistyczne. Bardzo się czułam szczęśliwa, że udało mi się ten etap zakończyć. Jako tzw. pogorzelec dostałam się na „inteligencja pracująca”, bo trzeba było podać swoje pochodzenie, pogorzelec z Warszawy tak zwany. Udało mi się dostać na Uniwersytet Warszawski na historię sztuki i skończyłam historię sztuki. To były 5-letnie studia, 3 lata dyplom, a później 2 lata magisterium historii sztuki w ramach Wydziału Historycznego. Oczywiście pierwsze 2 lata to był marksizm, leninizm, a po 2 latach tych ogólnych nauk były 3 lata już prawdziwej historii sztuki, gdzie miałam bardzo dobrych profesorów, bo wówczas moim prowadzącym profesorem był Władysław Tomkiewicz, znawca kultury XVII wieku. I ja mam specjalizację, specjalność właśnie sztuki polskiej XVII wieku. Oraz był profesor [Stanisław] Lorenc, cała znakomita plejada architektów, urbanistów, którzy byli wykładowcami na historii sztuki, oraz później, kiedy rozpoczęłam pracę w 1954 roku w Pracowni Konserwacji Zabytków, bo taką specjalizację sobie wybrałam, to również spotkałam na swojej drodze znakomych, najwyższej klasy profesorów, bo mam zaszczyt, znałam, kierownikiem bezpośrednim w tej instytucji Pracowni Konserwacji Zabytków był profesor Zygmunt Świechowski, ale współpracowali rzeczoznawcy. Był profesor Lorenc, Biegański, Zachwatowicz, wszystkie tuż późniejszej architektury polskiej, oni w tym pierwszym okresie, później też, ale już na wyższych stopniach uczelni, w wyższych specjalizacjach uczestniczyli, więc ja uważam, że ten znakomity zestaw wielkich profesorów dał mi taką lekcję, która mi posłużyła w całej mojej pracy zawodowej, bo miałam mistrzów, dosłownie mogę powiedzieć, wzory do naśladowania, zresztą to byli życzliwi ludzie, że jeżeli pisałam dokumentację naukowo-historyczne do odbudowy zabytków, to one przechodziły przez recenzje, opinie. I ci profesorowie opiniowali, dając swoje uwagi, które już następnym razem stosowałam. Jeszcze teraz wrócę do spraw materialnych, które niestety po tych tułaczkach. Mama zaczęła pracę w końcu lat 40. Najpierw była w ekipach odgruzowujących Warszawę, a potem znała języki i brała tłumaczenia, i zaczęła pracować w kancelarii Ministerstwa Handlu Spożywczego, może przekręcąc nazwę, i z tej instytucji otrzymała kawalerkę, mianowicie na Ochocie przy ulicy Uniwersyteckiej. Tam w końcu lat 40. to był mały pokój. Całe mieszkanko miało chyba 18 metrów. Maciupieńki pokój z korytarzykiem, w którym była kuchenska, ale to było własne. To był wielki tryumf życiowy, że myśmy tam zamieszkały u siebie na własnych śmieciach dosłownie, bo nie było krzesel, siedzieliśmy na pudełkach od UNRRA. To była tzw. pomoc amerykańska, paczki przychodziły w pudełkach, więc te pudełka służyły za pierwsze meble. I to uważam za taki filar, etap drogi, właśnie osiągnięcia jakiegoś minimum własnego miejsca zamieszkania. Wtedy powstała myśl, że jednak, proszę wierzyć, że to jakieś te przeżycia wojenne, te wszystkie te tułaczki spowodowały jakiś taki napęd do uzyskania stabilizacji i własnego czegoś. I wtedy, pamiętam, że te pensje były niewielkie, mama też niewiele zarabiała. I sprzedano się podwar-

szawskie to lotnisko, zresztą wyboru nie było, bo zamieszkała tam 13-osobowa rodzina milicjanta, którego nie można było w żaden sposób prosić o to, żeby zwolnił. Wiedzieli, że my jesteśmy bez mieszkania, i trzeba było sprzedać. Ja wzięłam pożyczkę, prace zlecone i właściwie taki jakiś miałam niebywały napęd, chęć do tego, żeby być u siebie. Właśnie to mieszkanie, w którym jesteśmy, to jest wynik tej mojej pierwszej działalności. I tu zamieszkałam w 1962 roku. I uważam ten rok za taką klamrę zamknięcia okresu najtrudniejszego w moim życiu, znaczy 1939, oblężenie Warszawy i stabilizacja, wprowadzenie się w 1962 na Powiśle. To mogę powiedzieć ze spraw prywatnych, takich domowych. Jeżeli chodzi o sprawy zawodowe, to po tym pierwszym okresie trudnym, kiedy musiałam uzupełnić braki podstawowe w szkole, później jakoś szczęśliwie udało mi się pokonać trudności, bardzo dużo pracowałam w zakresie ochrony zabytków, konserwacji zabytków, głównie architektury. Często wyjeżdżałam w delegacje służbowe, po kolei awansowałam i ukończyłam etatową pracę w 1998 [1987] roku. Zakończyłam pracę etatową w resorcie ochrony i konserwacji zabytków. Natomiast rozpoczęłam bardzo intensywną pracę społeczną i należałam do kilku poważnych organizacji społecznych, w których po szerebie dochodziłam do kierowniczych, bo muszę powiedzieć, że przez całą moją pracę zawodową byłam starszym specjalistą, starszym konsultantem, starszym doradcą. Nigdy nie byłam kierownikiem ani dyrektorem. Nigdy nie miałam kierowniczego stanowiska, ale byłam zawsze wysoko klasyfikowanym doradcą, specjalistą do spraw merytorycznych, o w ten sposób. Po zakończeniu pracy etatowej, tak jak wspominałam, już będę się streszczać, tutaj na Powiślu Towarzystwo Przyjaciół Warszawy Oddział Powiśle, wiceprezesem byłam. Potem awansowałam, byłam przewodniczącą komisji rewizyjnej na całą organizację ogólnopolską. Wreszcie wiceprezesem zarządu głównego przy profesorze Lechu Kalinowskim. To Towarzystwo Przyjaciół Warszawy, ale także od lat wtedy, jak wspominałam, w Stowarzyszeniu Konserwatorów Zabytków też różne funkcje miałam, które zresztą do dzisiaj ciągnę, bo jestem już którąś kadencję przewodniczącą sądu koleżeńkiego. Więc następnie wielki okres mojej pracy, działka, to jest Stowarzyszenie Przyjaciół Suwalszczyzny. Z racji pochodzenia mojej rodziny z Suwalszczyzny tak mnie zawsze ciągnęło w tamte strony. I właściwie, tak jak wspominałam, po zakończeniu pracy etatowej w Warszawie, z całym, tak powiem, siłami zaczęłam pracować w Stowarzyszeniu Przyjaciół Suwalszczyzny, co łączyło się z wyjazdami. I tutaj troszkę zaważyły moje sprawy rodzinne. Mianowicie nie mam rodzeństwa, rodzice już dawno nie żyją, i bliskiej rodziny. A ponieważ tam w Suwałkach żyła jeszcze wtedy, moi kuzyni żyli, bardzo patriotyczna rodzina, wrosnięta w ziemię suwalską, chociaż pochodzeniowo z ziemi łomżyńskiej gdzieś od średniowiecza, a później zamieszkała na Suwalszczyźnie, więc tam jakby przenieśliam swoje działania, swoje uczucia, swoje siły. Wszystkie te moje prace społeczne owocowały różnymi krzyżami, medalami. Proszę zobaczyć, tu na ścianie wisi, powiesiłam różne godności, bo rzeczywiście ten cały impuls, cały ten zapał, który miałam w wykonywaniu pracy po przejściu na emeryturę, oraz to, że nie miałam osobistej właściwie rodziny, więc znalazłam miejsce w społecznej pracy, zwłaszcza w dwóch kierunkach. U konserwatorów zabytków, którzy pamiętają o mnie. I właśnie ostatnia uroczystość w Wilanowie w zeszłym tygodniu o tym świadczy. Bardzo się wzruszyłam. Suwałki, do których w następnym tygodniu pojadę, bo będzie promocja „Rocznika” Suwalskiego Towarzystwa Naukowego, gdzie będzie mój artykuł. I w ten sposób dobiegłam lat tych, za które mam Bogu dziękować. Wszyscy mi mówią, że ja udaję, że się czuję dobrze, i że bym się przyznała, co mnie boli. A ja myślę, co to im powiedzieć.

Tomasz Sikorski: Proszę powiedzieć, na jaką okoliczność była ta pierwsza uroczystość? Która? Ta rocznicowa, o której pani przed chwilą mówiła.

Alicja Lutostańska: W zeszłym tygodniu. Jest tak, że Stowarzyszenie Konserwatorów Zabytków organizuje co roku konkurs na najlepsze prace dyplomowe magisterskie, doktoranckie z zakresu ochrony zabytków wspólnie z Generalnym Konserwatorem Zabytków w randze wiceministra, podsekretarza stanu, czyli Ministra Kultury i Sztuki. I taka uroczystość przyznania nagród, rozstrzygnięcia konkursu przyznania nagród odbywa się chyba co roku. Ponieważ gromadzi najwyższe władze konserwatorskie i jest takim świętem dydaktyki i konserwacji zabytków, wobec tego do drugiej części tej uroczystości należy dawanie nagród, wyróżnień dla wyróżniających się działaczy w tej dziedzinie. I tak było w tym roku. Były nagrody na prace magisterskie, doktoranckie oraz 2 nagrody z zakresu pracy w tej działalności. I dwie były nagrody, otrzymał ją pan dyrektor Muzeum Pałacu Wilanowa, pan Paweł Jaskanis, za chyba dwudziestoletnią, bardzo długą pracę w zabezpieczeniu, ochronie, prowadzeniu Pałacu Wilanowskiego. I ja w zakresie działalności ochrony zabytków architektury w ostatnich latach i w ogóle. Była czytana lista, co ja zrobiłam, to rzeczywiście sama się zdziwiłam, bo zapomniałam już, co zrobiłam, a oni wszystko wygrzebali.

Tomasz Sikorski: Chciałbym zadać pytanie, żeby pani przytoczyła główne prace w zakresie odbudowy i rekonstrukcji.

Alicja Lutostańska: To się nie da, bo tego jest bardzo wiele. Chodzi mi o te choćby najbardziej znane pałace. Więc zacznę od początku. Pisałam dokumentację, bo to pisało się, taka dokumentacja do odbudowy składała się z części historycznej, dokumentalnej oraz z wnioskami, w jaki sposób należy odbudować czy poddać konserwacji. Tego rodzaju ta druga część wniosków konserwatorskich, wytycznych konserwatorskich była konsultowana z różnymi specjalistami i tu właśnie, tak jak wspominałam, miałam tę styczność z najwybitniejszymi specjalistami konserwatorami, aby te wnioski przy obiektach czołowych były właściwe. Więc pierwszą taką moją pracą to była odbudowa, nie moją, tak jak mówię, to było opiniowane, konsultowane, ale ja musiałam to przygotować, opracować, to był Pałac Branickich w Białymstoku. Później to była, zaczynam już od tamtego terenu, to był klasztor Kamedułów na Wigrach. To były wnioski do zamku Krzyżtopór w Ujeździe, ale również wytyczne konserwatorskie do planów zagospodarowania przestrzennego miast historycznych w Polsce. To wiadomo, że w strukturze miasta są części zabytkowe i niezabytkowe. I zwłaszcza po wojnie, po zniszczeniach wojennych na ogół bardzo uległy zniszczeniu tak zwane starówki. Celowo zresztą niszczone w 1945 roku na wiosnę. Więc brałam udział w opracowywaniu wytycznych odbudowy miast historycznych. Miast historycznych. To było wiele miast historycznych. Stężyca, tutaj mi jest trudno nawet sobie przypomnieć, ale to był rozrzut w całej Polsce. A ostatnio, kiedy pracowałam w Urzędzie Konserwatora m.st. Warszawy, ostatnie 5 lat, w latach 90., to przygotowywałam wnioski konserwatorskie do planu zagospodarowania przestrzennego dzielnic Warszawy, więc trzech miejscowości podwarszawskich. Trochę zmieniła się nomenklatura, zmieniły się troszkę formy. Najpierw chodziło o odbudowę, potem już wchodziła w grę rewitalizacja, rewaloryzacja, już było większe specjalistyczne rozłożenie tematyki z biegiem lat, które siłą faktu następowało w życiu miast. I to była trudna bardzo część mojej pracy, gdyż do napisania wytycznych jednego pałacu czy jednej kamienicy można było mieć wiadomości odnośnie do tego jednego pojedynczego obiektu. Ale kiedy wchodziło w grę opracowywanie wniosków do planów zagospodarowania przestrzennego miast, miasta, to już tutaj trzeba było mieć wielokierunkową wiedzę, specjalizację. I to była najtrudniejsza, merytorycznie biorąc, działka mojej pracy. I to czyniłam również dla Warszawy, nawet do Powiśla pisałam wnioski. To były trudne, wielokierunkowe opracowania. I właściwie moje odznaczenia, które dostałam, to one podkreślają właśnie te moje opracowania, wytyczne do planów zagospodarowania przestrzennego miast. I tu była

również dzielnica Warszawy, tak bym powiedziała ogólnie. A poza Pałacem Branickim i zamkiem Krzyżtopór z takich bardziej znanych pałaców i zamków? To jeszcze był Radzyń Podlaski, rezydencja w Radzynie Podlaskim barokowa. Tej mniej więcej klasy co Pałac Branickich w Białymstoku, gdyż jeszcze to muszę wyjaśnić, że moją specjalnością nie był gotyk i zamki gotyckie, ponieważ u profesora Władysława Tomkiewicza, który był specjalistą sztuki XVII i XVIII wieku baroku w Polsce, zrobiłam magisterium, to ten okres polskiej sztuki, nowoczesnej architektury jest jakby moją specjalnością. Magisterską pracę pisałam o Zamku Ujazdowskim w Warszawie, wtedy, kiedy zbierałam materiały, to akurat już wtedy była ruina. Ale jeszcze pamiętam z dzieciństwa Pałac Ujazdowski, tam był szpital, funkcjonował, wojskowy. I w czasie powstania, potem władze PRL-u zarządziły zburzenie, zniszczenie, bo miał powstać Teatr Wojskowy, przez pewien czas tam były zabezpieczone piwnice jako tak zwana trwała ruina, ale później znowu była opracowana dokumentacja historyczna, wnioski konserwatorskie, wytyczne, o których wspominałam. Brałam udział, pisałam do tego pałacu opracowanie i także wnioski konserwatorskie. I ten pałac został odbudowany, obecnie mieści się Centrum Sztuki Współczesnej. Oczywiście nie była to moja pojedyncza praca, tylko brałam udział w tym. Więc co by sobie jeszcze przypomnieć. Rozrzut tych prac był bardzo duży, dlatego że tak jak Radzyń Podlaski, ogromna rezydencja to jest, prawda, Podlasie, Lubelszczyzna, Branickich Pałac, to z kolei na północy, Krzyżtopór. W tej chwili sobie nie przypominam, ale proszę mi wierzyć, że było tych zamków sporo. Tylko nie gotyckich, nie, nie. Tylko to były rezydencje te na ogół zniszczone po potopie szwedzkim, oodbudowywane wtórnie. I tu był taki architekt słynny włoskiego pochodzenia, nie włoskiego, pomyliłam się, Tylman z Gameren, który po potopie szwedzkim odbudowywał pałace, dwory. I słynny kształt dworku polskiego to właściwie utrwalił Tylman z Gameren. Więc to jest tak szeroki temat, ale tak jak podkreślam, w związku z moją specjalizacją zyskaną na studiach sztuki nowożytnej, polskiej sztuki nowożytnej, te tematy, które miałam, które były też pewnie dobierane pod kątem moich specjalizacji i umiejętności, sięgają XVI, XVII, XVIII wieku. Tak zgodnie z przygotowaniem, jakie miałam na uniwersytecie. A później jeszcze był okres, kiedy rozpoczęłam pracę doktorską, kiedy żył mój promotor, profesor Władysław Tomkiewicz. Ale chcąc zbudować mieszkanie, w którym jesteśmy, tyle brałam różnych tzw. chałtur, różnych zleceń, że zaprzepąściłam ten doktorat, nie skończyłam go. Ale mieszkanie jest i siedzimy w nim.

Tomasz Sikorski: Rzuciła pani hasło, umownie mówiąc hasło, potop szwedzki, w takiej polskiej świadomości społecznej jest jakby oczywiste, że ogromniszczeń powstał w czasie I wojny światowej, w czasie ofensywy sowieckiej z 1920 roku, w II wojnie światowej. To, co nie zostało dopalone przez Niemców w II wojnie światowej, zniszczyli komuniści czy MDM, czy właśnie te starówki, o których pani mówiła, zabudowa Marszałkowskiej, która przetrwała wojnę. A [niezrozumiałe] nadal się niszczy w moim pojęciu, bo postawienie Muzeum Sztuki Nowoczesnej w pierzei ulicy Marszałkowskiej, przepraszam bardzo, budynek piękny, architektura piękna, ale dlaczego na ulicy Marszałkowskiej?

Alicja Lutostańska: Chodzi mi o ten potop szwedzki. Nie ma świadomości, jak ogromnych zniszczeń dokonali Szwedzi. Ja to wiem i to wszędzie widziałam, badając korzenie, historię, początki miast, wszędzie przeogromne zniszczenia. Są źródła, które opisują, że 3 domy pozostały na przykład, już nie pamiętam, w której miejscowości, dwa domy pozostały, pięciu mieszkańców. Tak wyglądało po potopie szwedzkim. Więc odbudowa była wtedy, koniec XVII wieku, również bardzo takim ważnym etapem naszej architektury, bo dużo obiektów ma tę formę końca XVII wieku. Proszę

powiedzieć jeszcze parę słów o swoich publikacjach historycznych, naukowych z zakresu architektury. Bardzo dużo pisałam dokumentacji w czasie pracy, które nie są publikowane i są w archiwach tych instytucji. To znaczy Przedsiębiorstwo Państwowe Pracownie Konserwacji Zabytków, następnie Polska Akademia Nauk, Zakład Historii Budowy Miast, następnie Ministerstwo Kultury, Zarząd Muzeów i Ochrony Zabytków, inspekcja, byłam inspektorem. Bezwzględnie Pałac Ujazdowski w Warszawie ma publikację, w kwartalniku „Architektury i Urbanistyki” PAN-u ma. W latach 60. Następnie kościół Trynitarzy na Solcu. Solcu, I połowa XVII wieku. Co ja jeszcze pisałam? Boże, pisałam, naprawdę.

Tomasz Sikorski: A którą publikację ceni pani najbardziej ze swojego dorobku w tym zakresie?

Alicja Lutostańska: Najbardziej cenię zamek Krzyżtopór w Ujeździe, ponieważ robiłam do niego bardzo głębokie kwerendy archiwalne w całej Polsce. I znalazłam dokumenty przesuwające datę jego budowy, bo ogólnie przyjęta wśród historyków architektury jest data budowy 1631. A ja znalazłam dokumenty, że już właściciel Krzysztof Ossoliński pisał listy „dane w zamku moim” w 1627. Więc kilkanaście lat wcześniej ten zamek istniał. I to jest takim moim odkryciem, jakby tak powiedzieć. Ale ja sobie teraz nie mogę przypomnieć, ale ja dużo tych opracowań pisałam. Gdzieś one są zapisane. Na pewno.

Tomasz Sikorski: Poruszyła pani taki ciekawy przypadek, który świadczy o tym, że z architekturą nie ma żartów.

Alicja Lutostańska: Mówię o tym kontenerowcu, który powstał przy Marszałkowskiej. Tak. Który jest na pewno jakimś ciekawym założeniem architektonicznym, ale strasznie dużym, strasznie agresywnym i chyba właśnie nie do końca w dobrym miejscu postawionym. Jakies takie przesłanie dla współczesnych i dla potomnych z zakresu architektury, urbanistyki?

Tomasz Sikorski: Co by pani poradziła obecnemu pokoleniu architektów i przyszłym pokoleniom? Jak do tej materii powinni podchodzić?

Alicja Lutostańska: Żeby badali historię urbanistyki miast polskich i śledzili zasady budowania, zabudowy na terenie miast historycznych. Warszawa jest miastem historycznym, ma historyczny układ urbanistyczny, historyczne ulice, główne arterie. I szanując historię tego miasta, należy pomysły swoje najwspanialsze, najlepsze starać się tak wpasować, wkomponować, aby one siebie pokazywały w najlepszych funkcjach i blaskach, ale nie niszczyły struktury miasta. Tak jest moje zdanie, dlatego przy całym szacunku oceniam piękno budynku tego powstałego przy Muzeum Historii Polski, ale nie mogę pogodzić się, że ten budynek jest uplasowany przy pięknej historycznej arterii Marszałkowskiej i funkcji, jaką ta ulica pełniła, bo nie była to ulica muzeów, tylko to była ulica kamienic i życia wielkomiejskiego. Po prostu architekci swoje pomysły, najlepsze, najwspanialsze, z całym szacunkiem, powinni lokować, dyskutować, szanować strukturę miast. Takie moje zdanie.